

Jeśli chodzi o ekstrawagancję, „Y” Artura Pałygi i Pawła Passiniego nie ma sobie równych. To musical o granicach rzeczywistości. Czasami hipnotyczny, czasami manieryczny

Jacek Wakar, Polskie Radio

Tego się nie da nie zauważyć. Od kina bardziej interesujące są ostatnio seriale. Na scenie zaś najczęściej dzieje się w teatrze muzycznym. Jego granice rozciąga Wojciech Kościelniak, punkty styku między musicaliem a moralitetem bada Agata Duda-Gracz. Paweł Passini też ma w tej dziedzinie swoje zasługi. Przed kilkoma laty w Opolskim Teatrze Lalki i Aktora przygotował świetnego „Morrisona/Śmiercisyna”, łącząc formułę przedstawienia muzycznego z planem lalkowym, czego przynajmniej ja wcześniej nie widziałem. Tekst napisał Artur Pałyga, w centrum stawiając lidera grupy The Doors. Jego Morrison był figurą idola nieuchronnie zmierzającego do samozagłady. Spektakl zawdzięczający wiele intensywnej obecności Sambora Dudzińskiego w tytułowej roli stanowił coś na kształt kroniki zapowiedzianej śmierci Króla Jaszczura, ale stawał się też czymś więcej. Do świadczeniem jednoczącym dla generacji, która wraz z Dudzińskim mogła śpiewać nieśmiertelne songi Doorsów. Dzięki temu nie tylko dla mnie był zdarzeniem o sile budowania wspólnoty, pełnym niezwykłej w teatrze empatii.

Opolskie przedstawienie odkryło muzyczność teatru Pawła Passiniego i słuch na tego typu historie u Artura Pałygi. Niektórzy mogli się czuć zaskoczeni, bo twórcę „Hideout/Kryjówki” zazwyczaj interesowały inne tematy. Próbował z różnym skutkiem powracać w swoich spektaklach do teatru jako rytuału, to odwołując się do Artauda, to do polskiego romantyzmu. Język dramatów Pałygi zawsze był mocno zrytmizowany, ale autor „Nieskończonej historii” śledził zwykle bliższe nam tutaj w Polsce sfery rzeczywistości. Bardziej zajmował go widok z własnego okna niż zapośredniczone opowieści o władcach masowej wyobraźni.

Teatr jak wirtualna chmura

ŁUKASZ GIZA/TEATR MUZYCZNY CAPITOL



Sukcesowi „Morrisona/Śmiercisyna” zawdzięczamy kolejną muzyczną inscenizację duetu. Na miejsce pracy wybrali tym razem wrocławski Capitol. Zupełnie słusznie, bo jeżeli muzyczny teatr w Polsce nieustannie jest w ruchu, zawdzięczamy to w dużej mierze tej właśnie scenie. Gdy placówka nie miała jeszcze głównego gmachu, powstały w Capitolu dwa widowiska dobrze ukazujące aspiracje dyrektora Konrada Imieli. Agata Duda-Gracz pokazała „Ja, Piotr Riviere...”, a Jan Klata badał wytrzymałość widzów prowokującym „Jerry Springer The Opera”. Dla wszystkich stało się jasne, że w Capitolu nie przestraszą się żadnego „łże-musicalu”.

„Y” będzie jednak wyzwaniem nawet dla przywykłych do awangardowych poszukiwań widzów wrocławskiej sceny. Passini i Pałyga zrobili bowiem chyba pierwsze przedstawienie, którego akcja dzieje się w przestrzeni wirtualnej, próbując dojść do tego, czym jest w istocie i co obejmuje internetowa chmura danych. Pomysłodawcą inscenizacji był jednak ten trzeci, czyli aktor Capitolu Łukasz Wójcik. To on połączył w swojej wyobraźni Steve’a Jobsa (sam też się w niego wcielił) z zespołem The Beatles. Wszystko dlatego, że w laptopie założyciela Apple odnaleziono wszystkie utwory czwórki z Liverpoolu, co pozwoliło Wójcikowi połączyć dwie ikony całkiem nową nicią. Dzięki „Y” (czytaj: why)

Steve, John, George, Ringo i Paul spotykają się na scenie, próbując odkryć, co oznacza istnienie poza materialnym bytem, jedynie w chmurze danych. Samo w sobie byłoby to nieznośnie pretensjonalne, ale Pałyga, Wójcik i Passini na szczęście nie ograniczają się do penetrowania zasobów sieci. „Y” jest najciekawsze wtedy, gdy między wierszami opowiada o nieśmiertelności popkultury oraz nieustannym odradzaniu się jej mitów założycielskich. W ich ujęciu historia Jobsa oraz Beatlesów jest odnawiającym się nieustannie palimpsestem. Na tym tekście swoje własne do niego głosy może dopisać każdy bez wyjątku obrońca.

Internet oraz gadżety współczesności z iPhone’ami na czele stanowią natomiast kostium dla całej teatralnej opowieści. Passiniemu udaje się na Scenie Ciśnienia dzięki projekcjom i wizualizacjom stworzyć wrażenie labiryntu, przestrzeni wirtualnej, niemożliwej do dotknięcia w tak zwanym realu. Mimo że „Y” nie należy do widowisk szczególnie spektakularnych, od strony scenicznych obrazów w pełni angażuje uwagę. Także dzięki nieoczywistym decyzjom obsadowym, bo trzeba sporej dozy dobrego szaleństwa, by role Lennona, McCartneya, Starra i Harrisona powierzyć czwórce aktorek Capitolu (Helena Sujekta, Pola Błasik, Justyna Antoniuk, Agnieszka Oryńska-Lesicka). Dzięki ich gło-

som i nowym aranżacjom przygotowanym przez Łukasza Wójcika choćby „Strawberry Fields Forever” brzmi, jakbyśmy słyszeli tę piosenkę po raz pierwszy w życiu, choć przecież znamy ją na pamięć. Pierwszy raz za to widzimy Katarzynę Janiszewską debiutującą w Capitolu rolą tytułowej Y. Kreowana przez studentkę wrocławskiej PWST bohaterka przywodzi na myśl tę zagraną przez Alicję Vikander w świetnym filmie „Ex Machina”. Janiszewska znajduje dla swojej Y niepodrabianą naturalność, wdzięk i ciepło. Warto zapamiętać to nazwisko.

„Y” nie jest przedstawieniem bez wad. Tekst Pałygi czasem brnie za daleko w banalne analizy internetowej chmury, cierpi też na rozwlekłość, bardzo przydałyby mu się mocne cięcia. Passini zaś bywa zbyt mocno zachwycony wymyślanymi przez siebie rozwiązaniami, co sprawia, że przedstawienie bywa rażąco manieryczne. Po chwili jednak przede wszystkim dzięki aktorom Capitolu wraca na właściwe tory i łatwiej wybaczyć mu nawet pretensjonalność. Poza tym Passini i Pałyga także dzięki „Y” konsekwentnie wydeptują sobie w teatrze muzycznym własną niszę.

„Y” Artura Pałygi | reżyseria: Paweł Passini | Teatr Muzyczny Capitol we Wrocławiu

